

Nasz dom jednorodzinny

W Polsce, rok 1965

O budziłem się w Łupkowie na bieszczadzkiem odludziu i pierwszą moją myślą było: nie spóźnić się na odjazd hufców pracy. Gdzieś tu niedaleko miały one ciągnąć długą wstęgę kolejki leśnej. A dostać się w głąb leśnych uroczysk, ujrzeć bukową puszcę, trakty zarosłe borem, rozległe połoniny i samotne leśniczówki — można było jedynie korzystając z uprzejmości hufcowego szofera.

Coś się jednak stało z zegarkiem i gdy przybyłem na miejsce zbiórki — robotników już nie było. W perspektywie została mi więc podróż samopas, „autonogami”, liczona na własne siły, chyba, że zjawiłby się tu nagle jakiś perski dywan lub inny cud z bajki.

Z rzadziejego mroku wyłaniała się szeroka, błyszcząca nowością, wstęga szosy. Po chwili — zza domków Łupkowa wyrżał czarny nos Fiata, a z niego — przyjazna ręka, zapraszająca do wnętrza.

Zacząłem nie poznawać tego zakątka, który zwiedziłem — zdawałoby się tak jeszcze niedawno, jakby wczoraj. Przygodny wybawca poinformował, że hufce pracy musiały mi się przysnić w łupkowskim schronisku — tutaj bowiem skończyły one już dawno ciężką pracę. Niebawem też ujrzelismy rezultaty: kolejkę leśną, po której właśnie sunął pociąg załadowany drzewem; drogi o twardej nawierzchni; małe, schludne domki osadników, których jeszcze siedem lat temu tu wcale nie było.

Siedem lat temu!...

A więc to „wczoraj” nosiło datę... 1958 roku! Dziś w Bieszczadach nie ma już ugorów, las tnie się na deski, z desek klei się meble, na połoninach — stada, w dolinach — mleczarnie i sortownie leśnego runa, na szczytach schroniska i turystyczne stacje. Z Sanoka co dzień odjeżdżają wagony z łupkami i barytem, o którym niegdyś czytałem.

Zachciało mi się nagle pożegnać karpackie regle i znów jakimś cudem poszybować nad Polską — ogarnąć ją wzrokiem od Ziemi Rzeszowskiej po Śląsk i Ziemię Lubuską, od terenów Nadodrza po krańce Białostocczyzny — ujrzeć ją całą, jak żywy podręcznik geografii, omotaną zdarzeniami i faktami ubiegłych 7 lat, żegnającą rok 1965, karmiącą 33 miliony mieszkańców...

„Cud” zjawił się nazajutrz. Był to zgrabny, srebrzysto-szary helikopter Państwowej Służby Geologicznej, który po krótkiej radiotelefonicznej rozmowie z Warszawą — zabrał mnie w jedyną tego rodzaju podróż.

Nad Mielcem, jeszcze przed Tarnobrzeskim Kombinatem Siarkowym, witają nas wieże szybów naftowych i gazowych oraz fabryki petrochemiczne. Pole gazonowe jest bardzo rozległe — ciągnie się kilometrami na północ i wschód, a jego zasoby pozwalają na intensywną eksploatację i wielokierunkowe przetwórstwo. Szybów naftowych jest mniej — ale perspektywy są jasne: w najbliższych latach skreślamy ropę z importu!

Skreślamy w lewo i szybujemy w stronę Krakowa i Śląska.

Nowa Huta ma już ponad 100 tysięcy mieszkańców, a jej produkcja dociąga do 3 milionów ton stali rocznie. Teatr Skuszancki zabrał się do sztuk obrazujących przyszłość. Ostatnio bawił w Afryce, gdzie zrobił prawdziwą furorę.

Dużym miastem stał się także Rybnik — centrum nowego zagłębia węglowego. Dzięki rozbudowie kopalni w tej części Śląska — wydobyte węgiel kamienny osiągnęło już w skali rocznej 112 milionów ton. Dochodzi do tego 27 milionów ton węgla brunatnego.

Ale cóż to? „Czarny kraj” wygląda tak, jakby uwolniono go ze stu co najmniej fabryk: mniej dymu, więcej zieleni. No tak — wytwarzamy już doskonale elektrofornice i coraz nowe przedsiębiorstwa instalują je u siebie. Jednocześnie trwa akcja zadrzewień, w której wyniku warunki pracy na Śląsku polepszają się z roku na rok. Fabryk raczej przybywa — lokowane są one jednak na peryferiach Zagłębia Przybyło m. in. kilkanaście nowych kopalni cynku i ołowiu — w paśmie jury krakowsko - częstochowskiej. Uruchamia się też fabrykę, która drogą skomplikowanych procesów dobywać będzie z blendy i galmanu szereg rzadkich pierwiastków w prze myśle cenionych na wagę złota.

Rosną także ogólne wskaźniki produkcji. Wytwarzamy już w skali rocznej 50 tys. ton syntetycznego kauczuku, 37 tys. sztuk samochodów osobowych, 300 tys. motocykli i skuterów, 440 tysięcy telewizorów.

Mieliśmy zboczyć raz jeszcze w stronę gór — ale zabrakło czasu. A warto byłoby ujrzeć nowo zbudowaną zaporę na Du najcu, której w pracy sekunduje na wschodnich krańcach podgórze energetyczna kaskada Sanu z wielką zaporą i elektrownią w Myczkowcach. Całe podgórze uwalnia się wresz-

cie od groźby powodzi i korzysta z taniego prądu, którego rzeki dostarczają coraz więcej. Warto byłoby także usłyszeć opinie turystów zagranicznych siedzących w Wysowej, Rymanowie, Iwoniczu i innych, jeszcze 7 lat temu zapomnianych uzdrowisk, które dziś, w roku 1965 przynoszą rocznie kilkaset milionów złotych dochodu!

Poszybowałismy tymczasem na Wrocław. Tu — kilkunastogodzinny wypoczynek i zwiedzanie nowych osiedli mieszkaniowych. Lekkie betony i gips zrobili jednak karierę! Dowiadujemy się także, że zarobki robotników budowlanych, a także warunki ich pracy sprzyjają wreszcie stabilizacji załóg.

Za Kępem witamy Ziemię Wielkopolską. Z zainteresowaniem oglądamy tu pierwsze w Polsce jeszcze „eksperymentalne” miasta rolnicze ze stajni kinami, biblioteką, kawiarnią. Jest to rezultat wytrwałej pracy kółek rolniczych i organizacji spółdzielczych. W roku 1965 samo województwo po znańskie dostarcza już prawie pół miliona ton cukru i ponad półtora miliona ton zboża. Poznań liczy 450 tysięcy mieszkańców. Obok coraz bardziej skomplikowanych obrabiarek, łożysk kulkowych, rowerów, aparatów i przyrządów — wytwarza się tu już serie maszyn okrętowych dla wielkich jednostek oceanicznych. Zapotrzebowanie jest duże — nasze stocznie zaczęły realizować zamówienia na 18-tysięczne tankowce i wielkie motorowce towarowe o wyporności 15 — 20 i więcej tysięcy ton. Na targach zjawiają się już kupcy z Japonii, Australii, Nowej Zelandii, z Ameryki Południowej. Podziwiają nowe modele

polskich skuterów i samochodów.

Spacer po mieście dostarcza nowych emocji: na ulicach widać się dziesiątki automatów sprzedających drobiazgi, a z wielu sklepów zniknęły lady i kolejki kupujących. Namnożyło się za to sklepów samobsługowych.

Lecimy dalej. Po drodze — we wsiach i miasteczkach nowe domy, a wśród nich budynki o charakterystycznych szerokich oknach „szkoły tysiąclecia”. Ich liczba w całej Polsce dochodzi już do tysiąca. Mijamy nowe szlaki turystyczne, wiodące do Kruszwicy, Lednicy, Biskupina i innych miejscowości związanych z historią powstania państwa polskiego.

Na lewo — skok w kierunku Odry. Widzimy Gorzów, który daje już pierwsze partie

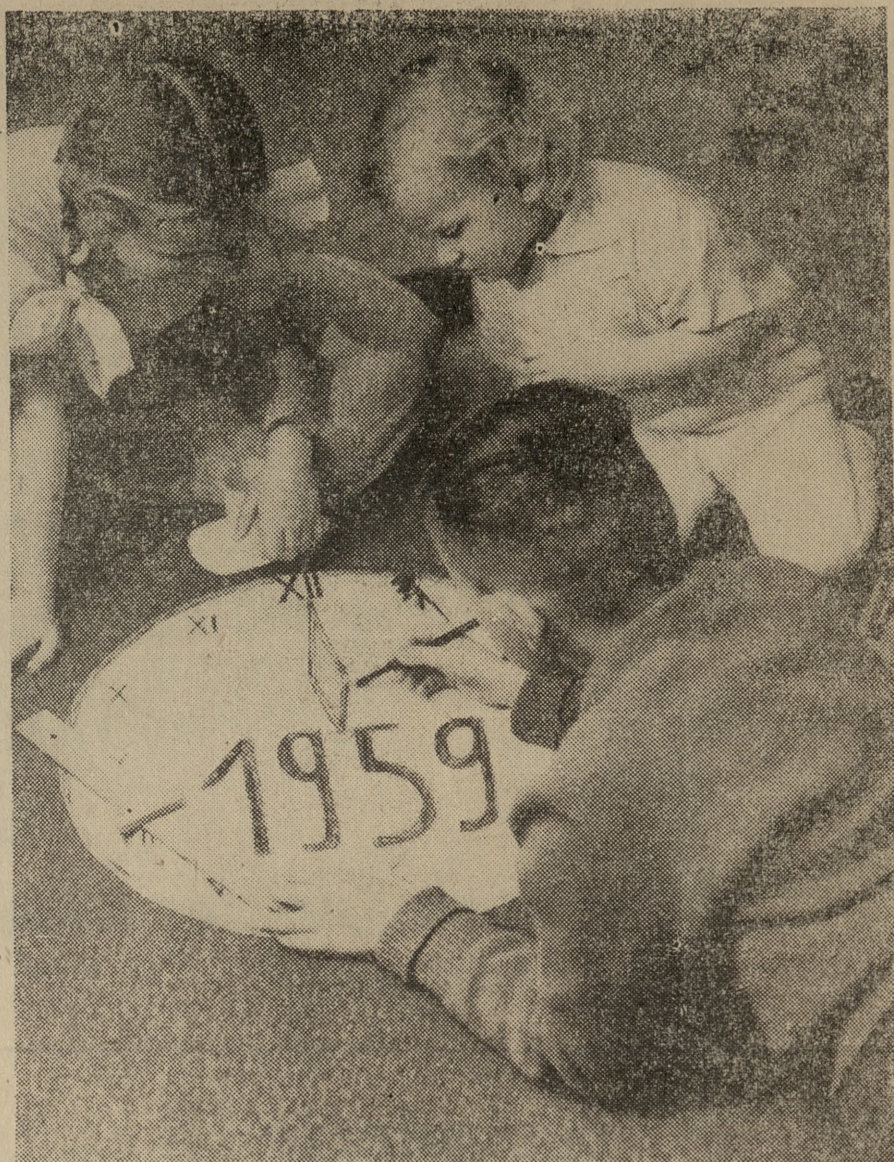
syntetycznej wełny na ubrania i piaseczce, a potem Kostorzyn z nowoczesną fabryką celulozy.

Wracamy. Nad Wisłą, w rejonie Płocka i Kujaw — nowy plac budowy — regulacja Wisły, budowa stopni wodnych. Jeszcze, jeszcze skok nad Jeziora Mazurskie, które w ciągu ostatnich kilku lat otrzymały nową turystyczną oprawę w postaci kilkunastu hoteli i kolonii campingowych.

Wreszcie Warszawa. Zamek Królewski — opleciony siatką rusztowań. Marszałkowska cała zabudowana, a „zaplecze” Pałacu Kultury i Nauki wystrzeliło dziesiątkiem nowych elewacji. Na Służewcu dobiega końca budowa dzielnicy fabrycznej. Niedawno mieszkańców stolicy obchodzili małą uroczystość: otwarcie setnego

kina. W gazetach, z których każda liczy po 8 — 12 stron — dyskusja nad działalnością TPD. Jak się okazuje, od paru lat trwa prawdziwy renesans bezinteresownej pracy społecznej, działalności organizacji masowych i powszechnego, obserwowanego na codzień zaangażowania się szerokich warstw ludności w problematykę społeczną i ekonomiczną. U progu Nowego Roku, ósmego od chwili, gdy ten numer gazety wychodzi z maszyny rotacyjnej — składają sobie ludzie życzenia nie tylko zdrowia i osobistego szczęścia, ale również tego, aby nasz dom jednorodzinny, nasz wspólny polski dom — był coraz lepiej wyposażony, coraz miłszy i aby kulturalniej było w nim i wesoło.

Karol RZEMIENIECKI



DOSIEGO ROKU!

CAF — fot. Grzęda - Uchymiak

Szczerze mówiąc — nie radzę Wam czytać tego, co poniżej. Ze względu na poważne wątpliwości, jakie po przeczytaniu po winny Was ogarnąć. Jeżeli jednak zdecydowanie się na czytanie — nie biorę odpowiedzialności za skutki. Lo jalnie ostrzegam. Na samym wstępie. Artykuł niniejszy bowiem ukazuje się wskutek...

Ale po kolei. Najpierw odbyło się posiedzenie kolegium, w czasie którego — oczywiście po wyzerpaniu co soczystszych kawałów — zajęto się określeniem zgromadzonej wartości noworocznego-sylwestrowego numeru, tego właśnie który trzymacie w ręku. Redaktor „Nowego Świata” wyrażał co prawda niejakię zastrzeżenie i — jak to nazywa jeden z kolegów — nieco „paraskal”, ale to już nie należy raczej do rzeczy. Zresztą Januszowi Bińkowi (to ten od „Nowego Świata”) trzeba przyznać, że jest człowiekiem wielce wymagającym. Wymaga — na przykład — by materiał przekazywany mu do wykorzystania na łamach „Świata” nadawał się. Potrafi przy tym dłużej (jak twierdzą członkowie kolegium), lub zgoła krótko (takie zdanie wypowiada jeden z naszych recenzentów, skądinąd zupełnie przyzwyczajony do tego) uzasadniać dlaczego „rzecz się nie nadaje”. Ci zaś, którzy znają go nieco bliżej

(np. z brzydą) upierają się nawet, że potrafi niekiedy sprzyjać bliżej przyczyn, dla których zamieścił to*) i owo na łamach 50 numerów „Nowego Świata”. Być może.

Następne posiedzenie kolegium (już bez kawałów, bo wszystkim spieszo było na „śledzika”) ustalić miało ponad wszelką wątpliwość zawartość sylwestrowo-noworocznego „Nowego Świata”, z czym Bińnek zdołał się już jakoś pogodzić. A więc zamieścił się tradycyjny wstępniak na czele redaktora, dalej — reportaż impresyjny Piotrusia Chojnickiego z towarzyszeniem dyrektora Kostrzy, a także wypowiedzi poznańskich naukowców różnych dziedzin na temat ubiegłorocznych (1958!) ewenementów w reprezentowanych przez nich galeziach wiedzy. Oczywiście to nie wszystko.

Rzecz jasna po tym kolegium wszystko poszło gładko. Najbardziej uciekał czas, najwolniej napływały materiały, najbardziej irytował się Bińnek, największą troską okryła się twarz lekkomyślnego autora okolicznościowego wstępniaka. Oto skutki planowej pracy!

*) „to” przyszło z adnotacją „zamieścić 31 XII br. na str. 1 „Nowego Świata” — naczelny.”

Jeśli myślicie, że oblicze moje (każdy, kto na nie spoj rzy stawia bezbłędną diagnozę) pokryła troska z powodu nieznanego sobie rzemiosła — jesteście w grubym błędzie. Wiem doskonale jak się pisze artykuły wstępne. I zaraz to udokumentuję.

Bierze się, proszę, państwa, rocznik „Głosu”, rozrzuca w artystycznym niela dzie na biurku, sąsiednich krzesłach oraz jeszcze gdzieś niedaleko. Następnie przycina się odpowiednią ilość długich, a wąskich skrawków papieru (najlepiej z malkulatury — wkrótce konkurs!). Przygotowuje się maszynę do pisania (w tekście artykułu należy raczej wspominać o dziennikarskim piórze), papier i już można pograć się w zadumie. W celu napisania artykułu wstępnego należy jednak po pewnym czasie wwrwać się z zadumy i zacząć myśleć poważnie. Dobrze jest także, w tzw. międzyczasie przystąpić do wertowania rocznika, rozpoczynając raczej od stycznia, i przy okazji sprawdzając, czy rocznik nie pochodzi przypadkiem z 1956 roku.

Wertując rocznik od czasu do czasu należy wtykać między karty dziennika poszczególne skrawki papieru, starając się z tym wtyka-

niem trafiać w jakieś rzadkie wydarzenia, jak np. otwarcie MTP, czy zamknięcie MTP. Szczytem wymagań byłoby wyszukanie jakiegoś zgrabnego cytatu, zależnie od gustu i tzw. me lodii — z poezji, z prozy (współczesnej nie radzę) lub zgoła z przemówienia męża stanu (może być stanu wolnego).

Po dokonaniu tych wstępnych czynności napisanie samego artykułu jest już dziecinna fraszka, chyba, że ktoś nie umie pisać. Artykuł radzę zakończyć jakimś rzadkim zwrotem, w rodzaju: „Mamy więc prawo oczekiwać, iż rozpoczynający się właśnie Nowy Rok, dzięki naszej wyjątkowej (ofiarniej, pełnej samoza parcia, nielekkiej) pracy, przyniesie nam osiągnięcia w skali, godnej odnotowania w złotej księdze historii”

Tak się pisze wstępniak. Zastosowanie przez Czytelników podanego przeze mnie wzorca da podwójne korzyści. Po pierwsze zapewni każdemu Czytelnikowi taki artykuł, jakiego właśnie oczekiwał, a po drugie zrealizuje w pełni hasło wymyślone przez kierownika Działu Łączności z Czytelnikami, Zbigniewa Mike: „Czytelnicy pomagają (sobie) redagować „Głos”.

Mika, Mika! Na ogół przyzwyczajony człowiek. W czarnych okularach, magister i w ogóle żonaty. Nie miał-

bym żadnych zastrzeżeń, gdyby nie kłamstwo ja kiego się dopuścił na konferencji prasowo-naukowej przed dwoma niespełna tygodniami. Przy tłumnym udziale specjalnych wy stawników prasy krajowej i poznańskiej (PAP-a tylko nie było) pozwolił on sobie z całą powagą oświadczyć iż Czytelnicy nadesłali 64.000 odpowiedzi na Wielką Ankietę. Naturalnie kłamstwo to zostało natychmiast przegwożdżone (od powiedzi było 63.830), ale przecież! Trzeba przyrzec się bliżej temu Mice.

Sądzę nawet, że najlepszej będzie to zadanie powierzyć Januszowi Likowskiemu. Od czegoż jest, u licha, sekretarzem redakcji?! Powiada ją o nim co prawda, że jest najlepszym sekretarzem redakcji spośród publicystów i najlepszym publicystą wśród sekretarzy redakcji, ale za to ma argumenty. Konkretne, rzeczowe. Ma też piękną, solidną, przekonyującą łaskę.

Tak, tak. My tu sobie plotkujemy, a tymczasem za kilka godzin Nowy 1959 Rok. Za kilka godzin będziecie wznosić kielichy, trącać się, składać sobie życzenia, a tymczasem gdzieś na szlaku w czarną noc mknąć będzie lokomotywa, w której, wychylony (ten się może przynajmniej na wychylać dowoli) przez okienko maszynista wypa-

(Dokończenie na str. 2)

CEGIELSZCZAKOM — W NOWOROCZNYM TOAŚCIE

ZAPCHANY po dziurki w wentylatorach pociąg mknął w świąteczną noc. Maszynista, spiesząc się chyba do wigilijnej rybki, prowadził skład z taką szybkością, że wagony nieprzyjemnie chybotały się na rozjazdach.

— Ile on może robić na godzinę? — zapytał jeden z współpasażerów. — Dziewięćdziesiąt!

— Ejże! Chyba ze sto! Zresztą zobaczmy o której będziemy w Szczecinie.

— W Szczecinie? — 23.09. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do dużych szybkości i jak tylko przekraczamy sześćdziesiąt na godzinę — trzymamy się ławek. Wszędzie w Europie średnia szybkość pociągów wynosi 120 km na godzinę, a taki „Orient Express” przejeżdża czterdzieści... Ale nasze wagony, nawet tej międzynarodowej komunikacji, są podobno z tych składów wyjątkowe. Nie nadają się do takich szybkości; zaczynają pływają...

Pasażer miał chyba z sześćdziesiąt lat, jego upstrzona fioletowymi centkami twarz zdradzała górnik. Okazało się, że był to reemigrant z Pas de Calais. Zaczął porównywać francuskie koleje, typy wagonów, ich wyposażenie i szybkość — z naszymi. Porównania te wypadły dla nas niekorzystnie. Szczególnie jeśli chodzi o komfort, szybkość i stosunek kolei do pasażera.

— A ile we Francji kosztuje przejazd na przykład z Paryża do Marsylii? — rzucił ktoś spod okna. Czy za równowartość ćwiartki gatunkowej można przejechać tam odległość z Poznania do Szczecina, jak u nas? Czytałem także, iż u nas opłaty za przewóz towarów są przeciętnie niższe niż przed wojną i pokrywają zaledwie 84 procent kosztów własnych kolei. Dlaczego tak jest?

— Ba! Zebym ja to wiedział — wtrącił trzeci pasażer. — Myślę jednak, że gdyby równowartość tych brakujących 16 proc. państwo dało Cegielskiemu, w ciągu 5 lat zarzuciłbyśmy kraj wagonami. Byłaby i szybkość i komfort. Nasi konstruktorzy i robotnicy nie są wcale gorsi od francuskich. Przyjdzie do nas, to zobaczymy.

Wystąpienie zadraśniętego w ambicji własnej cegiel-szczaka (z nim był, wynikało z rozmowy), bardzo mnie zaciekawiło. Jakże oni tam szykują niespodzianki?

czyżby co z tego wyjdzie. A nuż się uda?

— Słyszałem, że wykonali-scie także jakiś prototyp wa-gonu klimatyzacyjnego, jakiś rewelacyjny wózek, na któ-rym wagon nie „pływa”. Czy to tajemnica?

— Nie! Po prostu nie chce-my chwalić się na wyrost; z prototypami różnie w historii bywało.

— No to chociaż dwa zda-nia...

— Dobrze! W wagonie tym zastosowaliśmy po raz pierw-szy nowy system wentylacji, nagrzewania i chłodzenia, przystosowany do klimatu tro-pikalnego, z automatyczną re-gulacją wilgotności powietrza. Przy wózku nośnym nato-miast, którego zasadniczą kon-strukcją nie ulegała w Polsce od 30 lat żadnym zmianom, wyrzuciliśmy stalowe resory i zastąpiliśmy je specjalnymi przegubami z gumy. Szybkość, bez wstrząsów i „pływania”, 140 km na godzinę.

— A więc w wagonie o no-wych wózkach na podróż do Warszawy będziemy potrzebo-wali jakieś 2,5 godziny (bez zatrzymania). Przyszłość bar-dzo zachęcająca. W jakiej jesz-cze dziedzinie rok, który mija, był dla Was szczególnie ko-rzystny?

— W zarobkach. Jeśli w styczniu średni zarobek robot-nika W-3 wynosił 1817 zł, to w październiku — już 2149 zł.

— Panie dyrektorze — py-tamy jeszcze — a czy są w fabryce ludzie, którzy zara-biają więcej, jak Pan?

— Ależ naturalnie! Na przy-kład jeden z malarzy w listo-padzie zarobił 5001 zł, ośmiu innych rzemieślników — po-wyżej 4,5 tysiąca. Właśnie przed chwilą jeden z nich tu zaglądał.

— Na zakończenie — czego życzylibyście sobie osobście, załozcie i fabryce w Nowym Roku?

— Przynajmniej takiego sa-mego jak w roku 1958 — zaopatrzenia materiałowego.

— A poza tym?

— Udanych prób z naszym wagonem i wózkiem, wykona-nia motorowca i dalszej ob-niżki wagi wagonu przynaj-mniej o 4,5 tony na sztuce. Policzyć 4,5 x 470 = 2115 ton stali, drewna i innych surow-ców. To całę ciężki pociąg to-warowy lub — 40 nowych wa-gonów osobowych! Gra warta świeczki.

— A zatem — powodzenia. I Dosiego!

Piotr CHOJNACKI



Życzymy wszystkim miłośnikom „białego szaleństwa” takiego śniegu, jak na tym zdjęciu z Tatr.

CAF — Fot. Werner

Tysiąclecie

— wspaniałą okazją

Tysiąclecie na karku! Za-ledwie kilkanaście mie-sięcy dzieli nas od tego naro-dowego jubileuszu. Czasu więc mało, a pracy huk.

Goście z zagranicy na pew-no przyjadą do naszego kraju. Dlatego, że jesteśmy gościnni, że kraj nasz wcale nie jest brzydki, że jest w nim co do oglądania i podziwiania. A przy tej okazji dowiedzą się, żeśmy nie wyskoczyli Europie „spód ogona”, że mamy swoje stare dzieje, zabytki, legendy, sławę oręża i tyleż mądrości dziejowej co głupoty — tak jak i u nich.

Tysiąclecie ma także ogrom-ne znaczenie wewnętrzne dla naszego kraju. Sądzę, że w wielu pracowniach historyków przygotowują się ciekawe dzie-ła. Wymienimy chociażby nie-dawno wydaną Historię Pol-ski w 3 tomach. Można mieć do niego takie lub owakie za-strzeżenia, ale w sumie trze-ba powiedzieć — wspaniałe i potrzebne dzieło. Poznańska pracownia etnologów przygo-towała pracę zbiorową o ma-terialnej kulturze ludowej; w planach — kultura duchowa. To też coś. Archeolodzy przy-gotowali już (prace magister-skie w maszynopisach) pra-dzieje każdego powiatu. Nad dziełami swoich miast pracu-ją terenowi profesorowie li-cealni jak np. w Ostrowie. Ro-gożno już przygotowało swo-ją monografię. Zdaje się, że i w innych miastach i powia-tach coś się dzieje, np. w trzcianeckim. Słowem — ruch w historii.

Cieszyć nas także musi za-powiedź nowych wydań lite-rackich. Lecz — jak dotych-czas — w tych przygotowa-niach zapomina się o najwa-żniejszym. O samej metryce u-rodzenia, o dowodach naj-wześniejszego dzieciństwa. Je-szcze żadne wydawnictwo nie zapowiedziało wydania Kroni-ki Galla Anonima. A przecież to więcej niż grzech! Wziasz-cza my, Wielkopoleanie, powin-niśmy być uczuleni co do je-go osoby, przecież wszystko wskazuje na to, że najczęściej przebywał Gall w Wielkopo-lsce, w Gnieźnie. To samo od-nosi się do kronikarza — mistrza Wincentego Kadłubka. (1160—1223), który część życia spę-dził w Paradyżu pod Między-rzeczem. Nie mogą firmy wy-dawnicze zapominać o Kronice Wielkopolskiej przebiegłego po-lytyka (i awanturnika po śmier-ci Kazimierza Wielkiego) — Janka z Czarnkowa. „Korona” wreszcie kronik średniowiecz-nych w Polsce — pisał prof. Julian Krzyżanowski w swojej „Historii literatury polskiej” — jest „Historia Polonica”. A tu ciężko przynąć, że to dzie-ło Długosza do tego czasu tłumaczone było tylko w uryw-kach i w całości „po polsku” nie wydane!

To są naprawdę godne czci i druku dzieła. Ważne w nich jest i to, co jest prawdziwe i nieprawdziwe, śmieszne i po-ważne, naiwne i wiarygodne, i nawet to, co zostało pominię-te. Kroniki te pozwalają wnikać w umysłowość ówczes-nych ludzi, w ich myśli i ży-cie. Dziwić się tylko trzeba, że do tego czasu nikt nie pomyślał o spolszczeniu w ca-łości tych dokumentów (lite-ratura jest także swojego ro-dzaju dokumentem). Do tej chwili studenci muszą się jesz-cze przedzierać w nich przez gąszcz średniowiecznej łaciny. Dlatego tych kronik nie przy-bliżyć miłośnikom historii na ławach liceów i tym śmiertel-nikom, którzy historię uwa-żają za swoje „hobby”?

Bez tych „metryk” jakoś niepełne będzie Tysiąclecie.

J. P.

P.S. Nie wspominam już o potrze-bie wydania Kodeksu Dypl-o-matycznego Wielkopolski...

W kolejowym przedziale

Leonid Lencz

Tak się złożyło, że znany i lubiany artysta ope-rowy Ilia Iwanowicz Ba-togow, właśnie na No-wy Rok znalazł się sam w przytulnym, dwuosobowym przedziale kolejowym. Ilia Iwa-nowicz był człowiekiem towa-rzyskim i rozmownym. Nie lu-bił jeździć samotnie i brak to-warzystwa w podróży dawał mu się mocno we znaki.

Batogow posiedział trochę, popalił, ale znudziło go to i, roztkliwiwszy się nad sobą, postanowił przywitać Nowy Rok we śnie.

Zbudził się po godzinie. By-ło około jedenastej w nocy. Pociąg stał na stacji. W ko-rytarzu wagonu rozlegały się głosy, okrzyki i bieganina.

— Prędzej! — mówił ktoś za drzwiami głębokim baryto-nem. — A nie upuść! Ciszej, do diabła! Konduktorze, chodźcie tutaj!

To do mnie — uradował się śpiewak. — Zesłał mi Pan Bóg towarzysza podróży!

Drzwi się otworzyły. Bato-gow zobaczył, że właściciel głębokiego barytonu — to ma-leńki człowieczek z białym no-sem w kształcie odwróconego przecinka i z jasnymi, wytrze-szczonymi oczkami. Ubrany był w olbrzymią, za obszerną na niego szubę i w ciepłą czapkę-uszankę.

Człowieczek rozsiadł się w przedziale swoje walizki, od-prawił tragarza, zjął futro i kiedy pociąg ruszył z miej-

scą zwrócił się do Batogowa bardzo rzeczowo — tak jakby jechali razem już co najmniej trzy doby:

— Wypijemy i zakąsimy za-raz, czy poczekamy trochę?

— Po co mamy czekać? — zaśmiał się Batogow. — Nie trzeba tracić cennego czasu.

Małeńki człowieczek zaczął grzebać w podróżnym koszy-ku z zapasami.

— Pracuję tutaj niedaleko, na budowie — powiedział od-korkowując butelkę. — Jako agent podróży. Nazywam się Batogow.

— Jak? — zapytał Batogow podnosząc się ze zdziwienia.

— Tak jak ten znakomity śpiewak. Słyszeliście o nim?

Zdumiony figłem wszech-mocnego przypadku, śpiewak zaczął kaszleć ze zmieszania, nie wiedząc, czy ma powie-dzieć agentowi Batogowowi że znakomity śpiewak siedzi właśnie przed nim we własnej osobie, czy też nie powie-dzieć...

— Co się z wami dzieje? — zapytał Batogow-agent. — Czy-scie się zakrzusili?

— Tak... drobiazg — z tru-dem odpowiedział Batogow-śpiewak, który postanowił za-chować incognito.

Agent zresztą rozlał wódkę do kieliszków z kolorowej ma-sy i powiedział:

— No jazda! Za ten, co przy-jdzie!

Batogowowie stuknęli się i wypili.

— Wyście nigdy w życiu nie widzieli Batogowa-śpie-waka? — ostrożnie zapytał Ba-togow-śpiewak.

— Tak prywatnie nie widzia-łem. A, że się tak wyrażę, za-rampą — dwa razy. Raz w „Rusałce”, a drugi — w „Onie-ginie”. A wy, przepraszam, w jakiej dziedzinie pracujecie?

— W ubezpieczalni społecz-nej — skłamał Batogow-śpie-wak. — Ale powiedzcie, na pe-wno mieliście różne ciekawe przygody z powodu waszego... nazwiska.

Agent nalał znowu do kieliszków, stuknął się i powie-dział:

— Miałem różne zdarzenia... No... jazda dalej! Jeszcze raz za ten, co przyjdzie!

— Jakże to były zdarzenia? Opowiedzcie, towarzyszu Ba-togow.

— Muszę zaznaczyć — szcze-rze powiedział agent podróży-jący — że to podobieństwo na zwisk mnie osobście pomaga w pracy. Jak, na przykład, znalazłem się tu, w tym po-ciągu i w tym wagonie? Bar-dzo po prostu! Zatelegrafowa-łem do naczelnika stacji: „Pro-szę zarezerwować jedno miej-sce drugiej klasy w pociągu numer dwa bis Batogow”.

Przyjeżdżam, idę prosto do ka-sy. „Czy zarezerwowano miej-sce dla Batogowa?” Kasjerka jest rozpromieniona: „Oczy-

wiście, że zarezerwowano!” Piące, biorę bilet. Kasjerka po-wiada: „Bardzo bym chciała zobaczyć towarzysza Batogo-wa. Pokażcie mi go!” — Sto-ję przed wami i jestem oczarowany!” „Jak to... wy jeste-scie Batogow?” „Ja jestem Ba-togow!”. I zaraz podsuwam jej pod nos moje zaświadczenie podróże. Oczywiście, że roz-czarowanie, okrzyki. Ale bi-let mam już w kieszeni. I żad-nego oszustwa, zwracam wa-szą uwagę! Przecież telegram był podpisany po prostu przez Batogowa. A przecież nazy-wam się Batogow!

— Zrećnie! — powiedział śpiewak z pewnym chłodem w głosie.

Agent pomyślał i nalał po-trzecim kieliszku.

— Nie tak ostro! — powie-dział śpiewak pogroziwszy mu.

— Jedziemy ekspresem — zaproponował agent — więc mo-żemy zwiększyć szybkość!

— Uważajcie, żeby nie by-ło... katastrofy!

Agent wychylił trzeci kie-liszek, zagryzł białosą i cią-gnął dalej poprzednią rozmo-wę:

— U nas ludzie kochają świat artystyczny. Ale muszę raz jeszcze zauważyć, że moje znakomite nazwisko wykorzy-stuje jedynie dla dobra spra-wy. U nas jest jeden agent, na-zywa się na odmianę Kozłowski. Jeżeli zdarzy się jakieś trudne zadanie, wówczas po-syła ją nas razem, a my do-słownie dokazujemy cudów! Na przykład niedawno trze-ba było wystąpić o pokost. W fabryce bez papierka nie dają. A nam natychmiast potrzeba pokostu. Nie możemy czekać na papierkę. Przyjeżdżamy do

* *
(Dokończenie ze str. 1)

truje zielonego światła se-maforu. W tym samym cza-sie, gdzieś ktoś będzie do-rzucał drewno na ogień, a ktoś inny odprowadzi zala-nego przechodnia do Izby Wyrzębów. W elektrowni czuwać będzie dyżurny, a tam...

Stop! To już było! W świę-teczny numerze! Mimo to ogarniają mnie wątpliwo-sci. A może jednak? Może coś o ciemnej sylwestrowej nocy? Ciekawe co by po-wiedziała Gienio Kitzmann. Na pewno przeczytałby maszynopis, odczytał go, na-pchał tytoniu w fajkę, po-kreślił głową i powiedział: „Jak uważasz... Ja to już gdzieś czytałem...” Wszys-tko już gdzieś czytał, już gdzieś słyszał! Tylko gdy on zaczyna swoje historyj-ki na temat rybek, spin-ningów, blach i innych ży-łek to trzeba udawać, że jeszcze się nie słyszało, nie czytało!

Zresztą Gienio, jak Gienio. Wędkarze to na ogół spokojni ludzie. Gorzej, gdy przy wycenie, na kolegium Flejsterowicz zrobi niewin-ną minę i z całym spoko-jem zapyta: „Czemu to mi-lczenie? Doprawdy ja nie rozumiem. Przecież to zu-pełnie nieźle, jak na na-czelnego...”

Ach, mniejsza z tym. Tak czy inaczej zaraz na wste-pie przestrzegam lojalnie, szczerze odradzałem Wam czytania tych słów. Ostrze-gałem, że ogarną Was po-ważne wątpliwości, których i tak przecież macie na ko-py. Ja wiem, że nie warto czytać „Głosu”. — Wy dziś znajdujecie potwierdzenie tego.

„Co cię wiąże z „Gło-sem”? Tak brzmiało ostat-nie pytanie Wielkiej Ankiet-y. Większość z Was odpo-wiadała: „przyzwyczajenie” albo „tradycja”. Trzeba co rychlej zerwać z takim szko-dliwym przyzwyczajeniem, unicestwić taką niechlubną tradycję! Stanowczo i od zaraz! Będę Wam za to sto-krotnie wdzięczny, gdyż u-wolni mnie to od powi-ga-zan z kłójką szarogęszą się w „Głosie” i pozwoli jąć się uczciwej pracy. Wam życzę też tego serdecznie

Józef KONIECKI

P. S. Pragnę na tym miejscu zaprotestować przeciwko pod-łym insynuacjom, jakoby miał stosować dyktatorskie me-tody kierowania redakcją! Po-zwolę sobie także dodać, iż o-statnie zdanie pierwszego aka-pitu niniejszego artykułu (po trzykropku), miało brzmieć: — „...osobistego zdania Naczelnego Redaktora”. Nie dopisałem tego, gdyż nie wiem, czy wy-pada pisać o sobie z dużych li-ter. Dosiego Roku!

J. K.

Zwróciłem się do niektórych naukowców naszego miasta z pytaniem: „Jakie wydarzenie w roku 1958 uważa Pan — z punktu widzenia swojej specjalności lub zainteresowań — za najbardziej doniosłe, ewentualnie, jakie było najważniejsze osiągnięcie Pana lub placówki naukowej, na której Pan pracuje?”.

Oczywiście — wypowiedzi, które zamieszczamy, nie mogą — z powodu ich fragmentaryczności — odzwierciedlać pełnego obrazu przemian w nauce na przestrzeni kończącego się roku...

Prof. dr inż. R. Kozak

rektor
Politechniki Łódzkiej

Niektórych mieszkańców naszego miasta zaintrygowały — być może — maszyny, posuwające się wzdłuż torów i sterujące podkładami betonowymi ułożonymi na przejeździe koło Lubonia pod Poznaniem. Otóż po dziesięciu latach, kiedy po długich przygotowaniach zademonstrowałem pierwsze elementy sprężone, a w tym przypadku pierwsze podkłady sprężone w Polsce — doczekałem się wprowadzenia tych podkładów w kolejnictwie na trasie Poznań — Leszno.

Co to daje naszej gospodarce, a zwłaszcza każdemu z nas?

Przede wszystkim eliminuje drewno, którego mamy tak mało, że musielibyśmy je importować. Drewniane podkłady kolejowe, mimo że nasycane są różnymi impregnatami i stale pielęgnuje w torowisku, nie wytrzymują okresu ponad lat 15, tymczasem same szyny kolejowe mogą przeleżeć ponad czterdzieści lat. Następuje więc konieczność trzykrotnej nieraz wymiany podkładów pod szynami. Natomiast podkłady sprężone dają już gwarancję wytrzymałości do lat 60, co nie jest bez znaczenia dla naszej gospodarki. Niezależnie od tego, na podkładach sprężonych możemy spawać szyny na bardzo długich odcinkach, możemy zwiększyć obciążenia pociągów, przeprowadzić elektryfikację kolei, w rezultacie zwiększyć szybkość pociągów do 120 km na godzinę. Wpływ więc i znaczenie gospodarcze nauki jest tutaj doniosłe.

Drugim sukcesem przeżywanym w 1958 r. to budowa pod

moją opieką najdłuższego drogowego mostu sprężonego w Polsce, na rzece Warcie w Mieście Dychodzie. Trzyprzęsłowy most o rozpiętości jednego przęsła 33 m, wykonany jest z kablo-betonowych belek prefabrykowanych. Przy budowie zostały zastosowane najnowsze urządzenia techniczne. Most ten jest pierwszym przykładem wykonywania mostów sprężonych wielkich rozpiętości.

Opierając się na tych przykładach należałoby życzyć, aby w przyszłym roku nasze tramwaje miejskie zastąpiły również podkłady sprężone, a władze Poznania stosowały w odbudowie mostów oszczędnościowe konstrukcje z betonu sprężonego.

Prof. dr Józef Górski

rektor WSE w Poznaniu

Ograniczę się do najważniejszych danych, dotyczących Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu.

W 1958 r. kształciła ona na obu wydziałach (ogólno-ekonomicznym i handlowo-towaroznawczym) ponad 2.100 studentów. Bilans za rok 1958 jest dla nas wybitnie korzystny. W roku tym zdołaliśmy ostatecznie ustalić profil naukowy i organizacyjny szkoły i stworzyć podstawy dla jej rozwoju na najbliższe lata. W tymże roku też udało nam się zabezpieczyć należyte pomieszczenie dla stałe rosnących zbiorów Biblioteki Głównej oraz dla wielu zakładów naukowych.

Jako duży sukces, odnotować nam wypada powołanie na wydział ogólnie-ekonomiczny Katedry Ekonomiki Przemysłu oraz międzywydziałowego Instytutu Gospodarki Regionalnej.

W 1958 r. nawiązując do przedwojennej tradycji i współpracy z wydziałem prawa UAM, odzyskaliśmy wspólnie „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny”, stanowiący organ naukowy Wydziału Prawa i naszej szkoły. Mamy nadzieję, że organ ten odzyska też swe, przedwojenne znaczenie na terenie polskim i międzynarodowym.

Z prawdziwą przyjemnością mogę odnotować w kończącym

się roku kalendarzowym poważny wzrost ilościowy i jakościowy prac naukowych naszych pracowników. W związku z tym uruchomiliśmy własne wydawnictwo, w którym poza pomocami naukowymi dla studentów wydajemy prace doktorskie i habilitacyjne. Wzmożenie wydajności naukowej znajduje swój wyraz w uzyskiwaniu przez naszych pracowników tytułów i stopni naukowych. W omawianym roku uzyskało tytuł profesora zwyczajnego i profesora nadzwyczajnego po jednym, a tytuły docentów trzech pracowników naukowych. Czterech młodszych pracowników naukowych uzyskało stopień doktora nauk ekonomicznych. Nie wspominam o licznych prze-

kształcenia i określenia rangi społecznej inteligencji.

Myszę, że nie popełniamy wielkiego błędu, zakładając, iż nowoczesne społeczeństwo składać się będzie w przyszłym pokoleniu właściwie tylko z inteligentów: techników przemysłowych, rolników, techników organizacji społecznej wszelkiego kalibru.

A tymczasem cały świat narzeka, że uczniowie coraz mniej umieją i że studenci coraz gorzej są do studiów przygotowani. Jednocześnie programy uczącej się, pomnażanie przedmiotów nie ułatwia ani sprawy wykształcenia, ani wychowania. I jeśli nadto zauważymy, że programy nauczania i uczniowie z roku 1900 bardziej byli podobni do swych kolegów z XVI wieku i programów z tych odległych czasów, to może zaczniemy jednak zadawać sobie

matyki — nie wystarczy ich noś i precyzyjnie przeprowadzić skomplikowany zabieg.

Kontrolowane zatrzymanie akcji serca posiada także aspekt niechirurgiczny. Tutaj krótka dygresja!

Złamaną nogę uneruchamy w gipsie, w przypadkach zaburzeń żołądkowych czy schorzeń wątroby, stosujemy odpowiednią dietę — słowem, staramy się ograniczyć do maksimum czynności chorego narządu, dać mu odpoczynek. Dotychczas nie mogliśmy tak postępować w przypadkach chorób sercowych. Dopiero omawiane osiągnięcie oznacza, że znaleźliśmy właściwe sposoby na to, aby zapewnić sercu odpoczynek. Zatrzymanie pracy jest właśnie swego rodzaju dietą dla zmęczonego serca. Można żywić nadziej, że taki wypoczynek leczniczy, po ulepszeniu obecnie używanych aparatów, będzie trwał dłuższy okres.

Kilka słów o tegorocznych osiągnięciach na własnym podwórku. Aparat, o którym mówiłem, używany jest na razie w Polsce eksperymentalnie (za biegi doświadczalne na zwierzętach). Podczas zabiegów chirurgicznych stosujemy natomiast hipotermię, tj. obniżenie temperatury ciała. Organizm człowieka przechodzi wtenczas w stan przypominający sen zimowy (hibernacja). W efekcie zmniejsza się zużycie krążącej krwi, a serce — które w związku z tym, bije wolniej, jest mniej wrażliwe na urazy. Pozwala nam to na 10 minut zamknąć dopływ krwi.

Rok 1958 przyniósł w tej metodzie poważną innowację: Operowanie w hibernacji otwartego serca. Jego otwarcie umożliwia właściwe zamknięcie dopływu krwi. Jak było dotychczas? Aby uniknąć krwotoku przy operacji zastawki dwudzielnej, trzeba było zamykać szwami otwór operacyjny. Dokonując zabiegu kardiochirurg, musiał więc wprowadzać, uzbrojony w narzędzie palec i, po zaciśnięciu szwów, operować na wycieczce. Na wet i tak zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie posiada, uzyskana obecnie kontrola wzroku nad zabiegiem...

W 1958 roku przeprowadziłem pierwszą operację w hibernacji na otwartym sercu.

Notował: M. Ł.

Prof. dr J. Otrębski

Kierownik Katedry
Filogii Bałtyckiej UAM

Żaden rok w okresie mej działalności naukowej nie był tak płodny w wyniki, jak miniony rok 1958.

W ciągu tego roku wyszedł z druku I tom „Gramatyki języka litewskiego”; tom III ukazał się już poprzednio w roku 1956. Dzieło to, pomyślane w 5 tomach, ma przedstawić język litewski w ukształtowaniu nie tylko dzisiejszym, ale i w dawnym, jak ono się zmieniało na przestrzeni wieków. W wydanych dotychczas 2 tomach przedstawiono źródła do poznania języka litewskiego, fonetykę oraz fleksję wraz z częściami mowy nieodmiennymi. Obecnie pracuję nad przygotowaniem tomu II, obejmującego budowę wyrazów. Gramatyka układana jest w sposób porównawczy, tak że oddać może usługi w studiach nad językami słowiańskimi, a więc i nad językiem polskim.

W minionym roku wydaliśmy wspólnie z Cz. Kudzinowskim litewską Biblię Chylińskiego, zabytek z XVII w. Wydanie zawiera ważne dla historii kultury litewskiej wstęp pios. St. Kota pt. „Geneza i historia historycznej Biblii litewskiej Chylińskiego”.

W wigilię Nowego Roku ukazał się wydany pod moją redakcją tom VII czasopisma „Lingua Posnaniensis”, poświęconego językoznawstwu porównawczemu i ogólnemu. Czasopismo to ma charakter międzynarodowy, gdyż współpracują tu lingwiści z wielu krajów Europy i Ameryki; w tomie VII znalazły się prace m. in. 14 tomiów zagranicznych. Czasopismo daje w każdym tomie znaczny wkład w rozwój światowego językoznawstwa. Wydanie VII tomu o 350 stronach wymagało ode mnie znacznego wysiłku.

Dodajmy, że dr Otrębski w roku 1958 otrzymał za swe prace naukowe, a szczególnie za „Gramatykę języka litewskiego”, największe w tym roku w polskim świecie naukowym odznaczenie państwowe: — Krzyż Komandorski Odrodzenia Polski (red.).

1958

OKIEM

NAUKOWCÓW

wodach habilitacyjnych i doktoranckich znajdujących się na ukończeniu.

W marcu 1958 r. reaktywowano Stowarzyszenie Absolwentów naszej uczelni, posiadające swe oddziały we wszystkich większych ośrodkach kraju.

Problemy, które nam przyjdzie rozwiązywać w nadchodzącym roku kalendarzowym, polegać będą na ciągłym umacnianiu pozycji naukowej szkoły, na pogłębianiu jej pracy dydaktycznej, na rozwoju kadry naukowej, na rozszerzaniu kontaktów z życiem gospodarczym kraju, a zwłaszcza najbliższego nam regionu oraz na utrzymywaniu zapoczątkowanych w ostatnich latach kontaktów naukowych ze wszystkimi krajowymi i zagranicznymi centrami myśli ekonomicznej.

Prof. dr K. Kapitańczyk

Kierownik Katedry
Chemii Ogólnej PP

Chciałbym zatrzymać się nad sprawą, która nigdy nie była tak bardzo społeczna i polityczna, i której nigdy nie dyskutowano na całym świecie tak żarliwie, jak w roku 1958. Chodzi o problem wy-

najważniejsze — moim zdaniem — pytanie, które padło w roku 1958 — „Co to znaczy być wykształconym?”

Upraszczając ew. definicję, można by powiedzieć, że być inteligentem, oznacza zajmować pewne miejsce w społeczeństwie. Józef Chalasiński nazywa to miejsce — „miejscem społecznym”. Dodaje, że „można do tego miejsca nie dojść, ale gdy się do niego dojdzie, nie można uchylić się całkowicie od tych wymagań, jakie to miejsce stawia jednostkom, które je zajmują”. Zauważa też dalej, iż miejsce to jest owocem procesów historycznych oraz społecznych, jest ważnym i absolutnie niezbędnym w precyzyjnym mechanizmie społeczności. Oczywiście, że Pan Kłio, muza dziejów, ma jeszcze w swym karnecie najrozmaitsze warianty co do miejsca i roli człowieka wykształconego, inteligenta — w nadchodzących czasach. Tym bardziej, że wchodząc w epokę chemiczną i nuklearnej energetyki, równocześnie wchodzimy w epokę społeczeństw wykształconych.

Chodzi więc nie tylko o wiedzę formalną, ale o najmniej w równej mierze o wychowanie. Musimy przywrócić młodemu umysłowi zainteresowanie dla filozofii, języków, mate-

stanowili maksymalnie kulturalne społeczeństwo. Ostatecznie łatwiej stawiać wobec najtrudniejszych sytuacji z ludźmi wykształconymi i inteligentnymi, aniżeli z ludźmi nie posiadającymi wykształcenia.

Współczesność wysuwa jeszcze jedną ważną sprawę. Chodzi o długą starość i wolny czas, którymi będzie dysponować człowiek dnia jutrzejszego, a człowiek stary w szczególności. Wolny czas będzie „produktem ubocznym”, lub lepiej — darem automatyzacji i postępu technicznego. To przecież prawo i przywilej pracy. W naszym całym systemie wychowania i kształcenia popełniamy chyba zasadniczy błąd: w siatce zajęć nie ma „wolnego czasu”, a przecież jest on niezbędny. Sprawa umiejętnego korzystania z wolnego czasu należy także do wychowania.

I dlatego bodaj najważniejsze zdanie, jakie doszło mnie w roku 1958, wyszło spod pióra Józefa Chalasińskiego. Mówiąc o zadaniach inteligencji w dziedzinie życia zbiorowego, wymagających zespolenia sił i ambicji narodowych, taki formułuje wniosek:

„Podniesienie kultury zawodowej w naszym kraju! Podniesienie naukowe i techniczne przy jednoczesnym nasyceniu jej kulturą społeczną i moralną. Taki jest najgłębszy sens socjalizmu!”

Doc. dr Jan Moll

ordynator
oddziału chirurgii torakalnej
Szpitala im. Strusia

Praca serca oznaczała życie, a jej ustanie — zgon. Nawet okresowe przerwanie działalności serca było równoznaczne ze śmiercią. Tak było.

W pierwszych miesiącach 1958 roku do powszechnego leczenia klinicznego wprowadzono sztuczne serce i płuca, zastępując jednocześnie — i to uważam za największe osiągnięcie w moich specjalnościach: kardiologii i chirurgii torakalnej — kontrolowane zatrzymanie akcji serca. Potrafimy więc obecnie — powodując wzrost floci jonów potasu w osoczu — wyłączyć akcję serca i po pewnym czasie bezruchu (nie dłuższym niż godzina), pobudzić je neutralizacją chlorku potasu do dalszej działalności.

Osiągnięcie to posiada podwójne znaczenie: Przede wszystkim ogromnie ułatwia kardiologowi dokonywanie zabiegów. Dotychczas operował on bowiem bijące serce; teraz, kiedy czynność ssąco-tłoczącą zastępuje praca aparatu, a serce jest nieruchome, może bezpieczniej, spokojniej,

— Mówią, że wódka łożę jak wodę. Szklankę wypija je dny mchem. Ani okiem nie mrugnie. Odbije mu się tylko.

— Śpiewak, który już wyciągnął rękę po swój kieliszek, nie wziął go i tylko odbiło mu się ze zmieszania.

— Mówią też, że bardzo lubi się żenić. Co roku żeni się z inną, a z poprzednią rozchodzi.

— Dostę tych kłamstw! — nie wytrzymał Batogow-śpiewak. — Wystarczy! Dwa dziesięć lat z moją starą żyję w najlepszej zgodzie!

— Nowy Rok przywitali Batogowowie jak przyjaciela. Batogow-śpiewak, obejmując Batogowa-agenta za chudą szyję, perswadował mu:

— Piotrze Siergiejewiczu, nie gniewajcie się, ale powinniście sami swojej sławy szukać, a nie cudzej za ogon się trzymać! Znam na przykład jednego rybaka. Puszki się nazywa, i co? Plan wypełnia z nadwyżką! ... Rozumiecie mnie?

— Ale po północy Batogow-agent już niewiele rozumiał. Wytrzeszczał swe i tak już trzeszczone oczka i patrząc na śpiewaka z cielecym zachwytem mruczał:

— Ilia Pietrowicz, proszę, błagam was, nie gniewajcie się! Przysięgam, że więcej nie będę. I telegramów nie będę wysyłał, i przez telefon nie będę więcej tak mówić... Nie wiecie? ... A może chcecie, to zmienię nazwisko? Przyjeżdżam i od razu pedzę do urzędu stanu cywilnego. Przysięgam!

— Spać poszli dopiero wówczas, kiedy Nowy Rok miał już trzy godziny.

Thum: Zofia Bystrzycka
Ilustrował: L. Susicki



we” koncerty. Dostawał honorarium nie według stawki.

Batogow-śpiewak zaczęli się i znów głośno zakaszlał.

— Dlaczego wy się tak ciągle krztusicie? — zdziwił się Batogow-agent i ciągnął dalej:

— „Kochany, czy nie można by otrzymać dla Wostokstroja pokostu... bez pa pierka? Oni to potem załatwią!” „To trudna sprawa, Ilia Iwanowiczu. A dlaczego przepraszam, że się pytam, tak wam zależy na Wostokstroju?” „Tak po prostu. Platonicznie. Lubie to przedsiębiorstwo”. „Opiekujecie się, że tak powiem?” „Właśnie właśnie!” „Trzeba będzie coś wymyślić, Ilia Iwanowiczu!” „Więc przyśię do was zaraz Kozłowskię, załatwiecie to z nim?” „To towarzyszy Kozłowski też przyjechał?” „Przyjechał, mieszka obok mnie. Jest oczarowany!” „Boże drogi, to my zaraz po niego samochód pošlemy!” „Nie trzeba, da sobie radę!”

— Przepraszam, ale przecież oni potem widzą, że Kozłowski — to nie Kozłowski!

— Za późno. Po pierwsze, ich samych to bawi. A kiedy człowiek się śmieje, staje się lepszy. A po drugie, nie wypada już odmawiać. Psychologia!

— I zawsze się wam tak udawało?

— Nie zawsze. Kiedyś, pamiętam, naraziłem się na reprimendę. Ale to nie ja byłem winien, tylko Batogow-śpiewak.

— To bardzo ciekawe! — powiedział Batogow-śpiewak. Czym zawinił Batogow-śpiewak?

— Wtedy go w gazecie ze schłastali. Za jakieś tam „Je-

— A ja, wyobraźcie sobie, że nie jesteście tamten Batogow”.

Batogow-agent nalał sobie czwartą kieliszek, szybko wypił i powiedział machnąwszy ręką:

— Niechże ich, te znakomitości! Kto ich wie, co to za ludzie! Zresztą o tym Batogowie mówią takie rzeczy, że uszy wiedną!

— Cóż takiego o nim mówią? — zapytał niespokojnie Batogow-śpiewak.

— Złakłem się, że z tego mo- że wyjsz cała historia; i mó- wie: „Ja nie jestem tamnym

NOWY ROK NOWE SUKCESY

W trosce o i w dążności ku, udało się nam zanotować nowy sukces w służbie. Otóż cytryny na przyszłe święta na dejdą już w lutym roku 1960. Poza tym można cytryny nabywać w każdej kawiarni za nieznaczną dopłatą i o każdej porze.

HANDLOWCY



Poszukujemy autorów tekstów nowych piosenek o „Byczkach”, które to piosenki — podobnie jak dotąd — nadawane będą przez radio. Potrzebujemy również wykonawców piosenek. Zaznaczamy, że nie chodzi o umiejętności — konieczna jest natomiast troska.

GRA LICZBOWA „BYCZKI”

Rozbieramy bez różnicy płci i wieku oraz bez względu na temperaturę; bijemy również w ucho tudzież kopiemy w gołenię. Tylko dlaczego ostatnio tak mało się o nas pisze? Czyż byśmy się naszej prasie narazili? Nie krzywdzicie ludzi!

CHULIGANI



Chcemy wprowadzić pewne udogodnienia dla młodzieży, korzystającej z naszych usług. Chodzi nam zwłaszcza o zakochanych, którzy, jak stwierdziliśmy, zamiast wypożyczać od nas książki, czytają sobie z oczu.

MIEJSKA BIBLIOTEKA
W POZNANIU



Nie jesteśmy naukowcami, ale w dziedzinie odkryć na pewno wypełnimy plan również i w roku 1959.

PANSTWOWA
OPERETKA
W POZNANIU

W roku 1959 całe społeczeństwo musi zrozumieć, że tylko my mamy rację i że tylko my możemy wytłumaczyć właściwe drogi rozwoju poznańskiej kultury. Dla każdego myślącego człowieka jest zresztą jasne, że każdy, kto sądzi inaczej, jest wulgarnym konserwatystą, a nawet idiotą. Precz z Mickiewiczem, Kraszewskim i Pezdzińskim! Moniuszko to opium narodu! Nie czekajcie na Godota, bo już jesteśmy, padnijcie więc na kolana! Jeśli nie padniecie, grozi wam upadek i nasze dożywotnie lekceważenie!

AWANGARDZISTA
ZNAD WARTY



U progu Nowego Roku stwierdzam nie po raz pierwszy, że czasy zmieniły się nie do poznania. Wszędzie więcej przeciągów, niż przed wojną. I Mniszkówny drukować nie chcą, ani dzieł cioci Geni nagradzać, mimo że jest ona prawdziwą artystką, bo w niej zawsze coś było w środku.

Ale co kogo teraz obchodzi wnętrze? Dlatego ciocia Genia musi wystawić na Rynku Jeżyckim sztandar prawdziwego malarstwa, mimo że Gomulka mówi zupełnie inaczej. Myślny jednak przyszłością narodu!

BYŁA (i będzie)
MŁODA POLKA



Na przekór małodusznych pogłoskom, którym zresztą przeciwstawia się radio i prasa, pozwalamy sobie, u progu Nowego Roku przypomnieć, że dysponujemy nietolerancją w najlepszym wydaniu. Wieloletnie doświadczenie.

(adres wskaże biuro)



U progu Nowego Roku chciałem zawiadomić osobnika, który w maju 1913 roku w Częstochowie nazwał mnie cymbałem, że jednak nie miał racji.

NACZELNIK XY

Będziemy bardzo radzi, jeśli ktoś nam poradzi o czym mamy radzić? Odpowiedzi będą nagradzane bezpłatnym pobytem na najbliższym posiedzeniu w roku 2059.

FILMOWA
RADA REPERTUAROWA
W POZNANIU



W związku ze stabilizacją, chcemy podzielić się z naszą klientelą radością dla nich nowiną: otóż od 1. I. 1959 obniżamy opłaty o średnio 10 procent, mimo że koszty ryzyka wzrosły do 10 lat, i że nasza działalność cieszy się coraz mniejszym uznaniem.

„JAK SIĘ DA
TO SIĘ ZROBI”

spółka z sądową
odpowiedzialnością



Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem? Odezwiw się. Dziecko zda w tym roku maturę.

CIERPLIWA

Wbrew reakcyjnemu hasłu: „niechaj każdy esteta ma swojego kotleta” — stoimy na stanowisku, że estetyka wewnątrz nie może ograniczać się do wąskich z natury i niskodochodowych a w dodatku pracochłonnych kręgów społeczeństwa, poprzestających na egoistycznym zjadaniu kotleta.

Toteż w najbliższym czasie otwieramy nowoczesny bar, przeznaczony wyłącznie dla



naszych przyjaciół, to znaczy amatorów i zawodowców w zakresie konsumpcji alkoholu. Możemy dziś zawiadomić, że zwróciliśmy się już poprzez ONZ do ob. Picassa Pabla — o wykonanie odpowiednich fresków.

POZNAŃSKIE ZAKŁADY
GASTROALKOHOLICZNE



Kategorycznie protestujemy przeciwko temu, aby Amerykanie w roku 1359 znowu wystrzelili rakietę z małpa. To jest nieludzkie.
ZRZESZENIE
PANIEŃ
CHRONICZNYCH

Nasze sylwestrowe życzenie? Jedno, małe: może choć dziś, jak wszyscy, będziemy miały nieco więcej gazu...

POZNAŃSKIE LATARNIE

U PROGU KARNAWAŁU



Oto modne, wysoko podniesione talie sukien i najmodniejsze, swobodne lecz bardzo staranne modele fryzur balowych. Pamiętajmy też o rękawiczkach: modne są nieprzeźroczyste!



Suknie „trzy-czwarte” nie są już w tym roku najnowszym krzykiem mody. A jednak, aby dogodzić gustom pięknych pań, które tego rodzaju długość szczególnie sobie ponoć upodobały dyktatorzy mody pomyśleli i o takich fasonach.

W dobre rakiety i sputników moda damska nie mogła oczywiście zachować neutralności. Ostatnie słowo wypowiedziane przez twórców tegorocznych modeli karnawałowych to „Suknia - rakietka”.



TUTAJ A.D. 1859!

Pani Maria Sokołowska w dniu 30 grudnia udostępniła nam kalendarz, który liczy sobie dokładnie sto lat. Wydano go w Poznaniu, „nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha” na rok „podług Dionizjusza” 1859. Oprócz spisu imion, wśród których znajdujemy nader dla nas egzotyczne, jak Achacego (22. 6.), Botwida (28. 7.), czy Nemezjusza (19. 12) — zawiera on dokładny wykaz jarmarków, facecje i żarciki oraz rozprawę „O węzach w ogólności”. Drukujemy co ciekawsze fragmenty, zachowując ówczesną pisownię.

O węzach w ogólności mianowicie zaś o ich mniemanej chciwości na mleko, z dołączeniem dokładnego opisu dwóch gatunków w W. X. Poznańskim znajdujących się

przez
Juljana Zaborowskiego

Ciało węzów osobliwego jest kształtu odróżniającego te zwierzęta bardzo dobit-

nie nie tylko wśród całego działu zwierząt kręgowych, do których się liczą, ale mianowicie także wśród samych gadów. W kształcie węża przeważa kierunek długości, ta bowiem czterdzięci do stu razy bywa większa nad średnicę poprzeczną ciała. Uderzającym jest brak szyi z powodu, że wszystkie kręgi opatrzone są w żebra aż do

kręgów ogonowych. Również nie posiadają narzędzi do poruszania się na kształt innych zwierząt kręgowych. Głowa nigdy nie jest grubsza od reszty ciała, zwykle spłaszczona i nieco kształtu trójkątnego, okryta jest podobnie jak spodnią część całego ciała, tarczami lub listkami, podczas gdy reszta ciała luskami pokrywają. Żęby węzów w ogóle trojaki są rodzaju, jako to stałe żęby haczykowate, żęby rylnikowe, mające po jednej stronie głęboką rynienkę lub bruzdę i prawdziwe żęby jadowite, w których rylnienka przez połączenie się żęzegów na rurkę się zamienia.

Trawienie tych istot nader jest zadziwiającem, albowiem ich żołądek tak jest mocny, iż całkowite zwierzę z kośćmi i skórą zupełnie strawione zostaje. Przyjmują zoologowie, iż zdobyc półknięta z początku przechodzi w zgnieliznę, ząd pochodzą ma odraża-

jący dech wyziewany z paszczy wielu węzów jadowitych.

Na zimno węże zwykle nadzwyczaj są czule, tak że natychmiast szukają schronienia w jamach podziemnych, gdzie także sen zimowy odbywają.

Język wreszcie niezawodnie dla zwierząt polkających swą zdobycz całkowicie, tj. bez żucia zupełnie się wydaje zbytecznym; jest on długi i na dwa wąskie paseczki rozcięty przy końcu, okazując w swych poruszeniach nader wielką zwinność. Ze przeto językiem wąż nie zdola kąsić lub ranić, zdaje się rzeczą oczywistą mimo to jednak była to wiara ludu po wsze czasy i wszędzie a ponieważ nawet nie posiada nerwów, nie może przeto służyć do smakowania i tylko za organ macania może być uważany.

A oto kilka żartów:
Pewien lord napadniętym zo-

stał w lesie przez zbójców około platej przed wieczorem. „Moi panowie, rzeki do nich, bardzo nie pięknie, że tak wcześnie zaczynacie”.

Pewien bakałarz męczył chłopaka aby literę A wymówił. „Czyliż ci tak trudno mazgać, jedno A wymówić?” rzeki do niego zniecierpliwiony. „Nie trudno, ale mi się niechce”. „A to dlaczego?” „Bo jak wymówię A, to pan i B zechce”,

Pani Stael nie była piękna, a chciała za piękną uchodzić. Sławny Lalande, siedząc raz między nią a panią Recamier zwołaną piękną, chciał powiedzieć coś grzecznego, i tak się odezwał: „Jakże szczęśliwy jestem, siedzę między piękną i dowcipem”. Pani Stael urażona dodała: „A sam nie mam obojga”.

Piron zapytany dlaczego nie został członkiem akademii francuskiej, odpowiedział: „Niepodobna 39-ci ludzi przymusić, żeby tak myśleli jak ja, ani żeby ja jeden myślał jak oni”.